

# BALLADA NA BASETLĘ I ĆWIARTKĘ CZYSTEJ

**E**rnest Bryll teatr buduje ogromny i mały. Ogromny, jak przystało, ogląda się od frontu, mały — od kuchni. Niech mi Teatr Ludowy wybaczy te igraszki słowne i nie weźmie ich za ocenę spektaklu „Ballady wigilijnej”, czy opowieści o tym, jak Marek, Jan, Mateusz i Łukasz z Teatru Ludowego do Betlejem szli. O tym potem, najpierw słów kilka o utworze Bryllowym.

„Ballada wigilijna”, czyli inaczej szopka lub jasełka, postaci ma święte, z tradycji wzięte, sytuacje także: Chrystus musi się narodzić, królowie wędrować, pasterze kółdować, Maryja i Józef piastować dziecię. Nic tu ująć. Dodać — można i trzeba, humorem okrasić, ubarwić satyrą, żeby szopka była jak nowo narodzona. Dobrze, żeby humor ludowo pobrzmiwał. Bryll zaś, jak wiadomo, na plebejusza i ludowca przez swą twórczość i z mianowania Artura Sandauera nam urósł. Ale urósł na usi jakiejś niedobrej, widząc z dala od Galicji, gdzie już dawno mawiano: jakby nie miał co powiadać, na cóż by se gębę psuł? A więc gada przysiówiami, mowę na wiatr rozrzuca. A to: „usmarkała się bida i płacze”, „nie płacz jeden z drugim, bo mchem obrośniesz”, „trojakiem losu nie poprawisz”, „oj, używamy jak nagi w pokrzywach”, „że robakowi było w marchwi, to polaził w chrzan” itd., itp. Tak dalece uwierzył w swoje odczucie ducha ludowości, że stylizuje to, co z dawna stylizowane — przystawie. Ludowi ciężko wędrować do Betlejem, do gwiazdy pocieszycielki — więc lud sobie drogę umiła inną pocieszycielką. Ewangelisci i pasterze utrudzeni gęsto pociągnęli z ćwiartki czystej, pospali się i stanęli w drodze. No i już wiemy, że rzecz dzieje się w Polsce, ku ucieście widzowi, która czuje, że najlepszy duch przeniknął do sztuki.

Z elementów ludowych jest jeszcze w szopce wojsko, jak to się dawniej mawiało. „Chłopcy pognani w soldaty” w jakimś historycznym ustroju. Chłopcy, jak to w wojsku, tęsknią za dziewczyną śpiewając ludowo-wojskowe piosenki a dowódca, jak to dowódca — psawiana.

Z satyry politycznej o bardzo szerokim zasięgu, ponadnarodowym, jest „próświech do żłobu”. Rzecz kończy się tradycyjnie z udziałem



Chrystusa, Józefa, Maryi, ewangelistów, pasterzy i baranów. Jak dobrze, że są to elementy niezmiennie!

Teatr Ludowy wystawił „Balladę” w reżyserii Ireny Jun, ze scenografią Adama Kiliana, z muzyką Andrzeja Zielińskiego („Skaldowie”) i nagraniami tychże „Skaldów”. Scenografia, nawiązująca do tradycyjnych krakowskich szopek — prosta, bardzo kolorowa i ładna. Reżyserka robiła, co mogła, miała kilka zabawnych pomysłów (pomysł wprowadzenia „Skaldów”, obcinanie kurtyną głowy Heroda, głowy Maryi i Józefa pojawiające się w otworach tekturowego tła szopki — jać u ulicznego fotografa), ale niewiele da się chyba z tekstu wykrzesać. Zadanie jak na debiut — miała wyjątkowo niewdzięczne. Mam do Jun pretensję tylko o te ćwiartki z czerwona kartką. Z tekstu się ich wyrzucić nie da, bo wiązą dalszą akcję, ale po co je pokazywać widzowi, wśród której mnóstwo dzieci?

Pierwsza część przedstawienia zdecydowanie słabsza, w zbyt wolnym tempie utrzymana, druga żywa, o wiele lepsza, pozostawiająca wspomnienie po całości, co jest niebagatelną zasługą muzyki i tańca. W ogóle, jak się spodziewam, „Skaldowie”, a głównie kompozytor muzyki, Andrzej Zieliński, zapewnią Bryllowemu „Po górach, po chmurach” płytową furorę, takie to w ich wykonaniu melodyjne i wdzięczne.

Z zespołu aktorskiego da się zapamiętać przede wszystkim postacie trzech ewangelistów: Jana (Andrzej Wiśniewski), Mateusza (Tadeusz Włodarski) i Łukasza (Janusz Rafał Nowicki), którzy doskonale weszli w wyznaczone im role ewangelistów-bia-beatowców: dzielnie sekundują „Skaldom” (słuchanym z taśmy) w śpicwie i dobrze się w tańcu poruszają po scenie.